Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 24. Kwietnia 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 17.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

MICHAŁKO

OPOWIADANIE

BOLESŁAWA PRUSA.

Roboty przy kolei skończono. Podradczyk wypłacił komu co należało, oszukał kogo było można i ludzie poczęli rozchodzić się, gromadami, każdy do swojej wsi.

Koło karczmy, co stała przy plancie, do południa było gwarno. Jeden obwarzankami napełniał kobiałkę, drugi kupował wódkę do domu, inny — upijał się na miejscu. Potem, porobili zawiniątka z grubych płacht i zawiesiwszy je przez ramiona odeszli, wołając:

— Bywaj zdrów »durny Michałku!...«

A on został.

Został na szarem polu i nie patrzył nawet za swoimi, tylko na błyszczące szyny, co biegły aż tam, het! nie wiadomo gdzie. Wiatr rozrzucał mu ciemne włosy, rozwiewał białą parciankę i zdaleka przynosił — ostatnią zwrotkę pieśni odchodzących.

Wkrótce za krzakami jałowcu skryły się płachty, parcianki i okrągłe czapki. W końcu i pieśń umilkła, a on wciąż stał z założonemi rękoma, bo — nie miał gdzie iść. Jak ten zając, co w tej oto chwili przeskakuje szyny, tak on, chłopski sierota, gniazdo miał w polu, a spiżarnię — gdzie Bóg da.

Za piasczystem wzgórzem rozległo się gwizdanie, zakłębił się dym i zaturkotało. Nadjechał pociąg roboczy i zatrzymał się przed niewykończoną stacją. Otyły maszynista z czerwonym nosem i jego młodziutki pomocnik zeskoczyli z lokomotywy i pobiegli do karczmy. Toż samo zrobili brekowi. Został tylko inżynier, który przypatrywał się, zamyślony, pustej okolicy i przysłuchiwał szmerowi pary w kotle.

Chłop znał inżyniera, więc ukłonił mu się nisko, do ziemi.

— A to ty, »durny Michałku!« cóż tutaj robisz? — zapytał inżynier.

— Nic, panie! — odparł chłop.

— Dlaczegoż do wsi nie wracasz?

— Nie mam po co, panie.

Inżynier zaczął nucić, a potem rzekł:

— Jedź do Warszawy, tam zawsze znajdziesz robotę.

— Kiedy nie wiem gdzie to?

— Siadaj na wagon, to się dowiesz.

»Durny Michałko« skoczył na wagon, jak kot i usiadł na stosie kamieni.

— A pieniędzy trochę masz? — spytał inżynier.

— Mam panie rubla i czterdzieści groszy i złoty dziesiątkami...

Inżynier począł znowu nucić i oglądać się po okolicy, a w lokomotywie wciąż warczało. Wreszcie z karczmy wybiegła obsługa pociągu, z butelkami i węzełkami. Maszynista i jego pomocnik siedli na lokomotywę i ruszono.

O jaką milę drogi ztąd, na zakręcie, ukazały się dymy i wieś uboga, zbudowana między błotami. Na jej widok Michałko bardzo ożywił się. Zaczął się śmiać, wołać (choćby go nie usłyszano z takiej odległości), czapką machać... Aż jadący na wysokim koźle brekowy ofuknął go:

— A ty się czego wychylasz? Jeszcze zlecisz i djabli cię wezmą...

— Bo to nasza wieś panie, o tam o!...

— No, więc kiedy wasza, to siedź spokojnie — odparł brekowy.

Michałko usiadł spokojnie, jak mu kazano. Tylko że go coś bardzo nudziło w sercu, więc zaczął pacierz mówić. Ach! jakżeby on wrócił do swojej wsi z gliny i słomy ulepionej, tam między błota... Ale nie miał po co. Choć go nazywali »durnym«, tyle przecie rozumiał, że na świecie mniej przymiera się z głodu i o nocleg łatwiej, aniżeli we wsi. O! na świecie chleb jest bielszy, na mięso choć popatrzeć można, domów więcej i ludzie nie tacy mizerni, jak u nich.

Wymijali stacje za stacją, zatrzymując się tu dłużej, tam króciej. O zachodzie słońca kazał inżynier chłopu dać jeść, a on za to do nóg mu się ukłonił.

Wjechali w nową całkiem okolicę. Nie było tu rozlewających się bagien, ale wzgórzyste pola, kręte i szybko płynące rzeczki. Znikły kurne chaty i stodoły plecione z wici, a ukazały się piękne dwory i budynki murowane, lepsze niż u nich kościoły albo karczmy.

Nocą stanęli pod miastem, zbudowanem na górze. Zdawało się, że domy włażą jeden na drugi, a w każdym tyle światła, co gwiazd na niebie. Na stu pogrzebach nie zobaczyłby tylu świec, co w tem mieście...

Grało coś bardzo pięknie, ludzie chodzili tłumem, śmiejąc się, rzechocząc, choć już była taka noc wielka, że we wsi słyszałbyś tylko wołanie upiora i ujadanie strwożonych psów.

Michałko nie zasnął. Inżynier kazał mu dać funt kiełbasy i bułkę chleba, a potem przepędzili go na inny wagon, co wiózł piasek. Było tu miękko, jak w puchu. Ale chłop nie kładł się, tylko siedział w kuczki, jadł kiełbasę z chlebem, aż mu oczy wyłaziły na wierzch i myślał:

— Nie bój się, jakie to są dziwne rzeczy na świecie!...

Po kilkugodzinnym postoju, nad ranem, pociąg ruszył i jechali truchtem. Na jednej stacji, wśród lasu, zatrzymali się dłużej, a brekowy powiedział chłopu, że inżynier pewnie wróci się nazad, bo przyszła po niego depesza.

Istotnie inżynier zawołał do siebie chłopa.

— Ja muszę jechać napowrót — rzekł. — A ty sam czy puścisz się do Warszawy?...

— Bo ja wiem! — szepnął chłop.

— No, przecież chyba nie zginiesz między ludźmi?

— Komuż ja panie zginę, kiedy nie mam nikogo?...

Rzeczywiście, komu on miał zginąć!

— A więc jedź — mówił dalej inżynier. — Tam, zaraz przy stacji, budują nowe domy. Będziesz nosił z początku cegłę i nie umrzesz z głodu. Byleś się nie rozpił. Potem może ci być lepiej.

Na wszelki wypadek masz rubla.

Chłop wziął rubla, uścisnął inżynierowi kolana i usiadł na swój wagon z piaskiem.

Wnet ruszyli:

W drodze zapytał brekowego:

— Daleko ztąd panie do naszej stacji?...

— Chyba ze czterdzieści mil. Czy ja wiem!

— A piechotą, panie, długoby szedł?...

— Może ze trzy tygodnie. Wreszcie nie wiem.

Niezmierny strach ogarnął teraz chłopa. Po co on puścił się nieszczęśliwy tak daleko, że aż trzy tygodnie iść potrzeba do domu!...

W ich wsi opowiadano nieraz o jednym parobku, co go wicher porwał i prędzej, niż przeżegnać się można, zaniósł i cisnął o dwie mile, już trupa. Czy z nim nie stało się to samo? Czy ta maszyna ogniem ziejąca, której boją się starzy ludzie, nie jest gorsza od wichru?... A gdzie go ona wyrzuci!

Na tę myśl schwycił się krawędzi wagonu i zamknął oczy. Teraz uczuł, jak go niesie, jak strasznie huczy, jak go wiatr bije po twarzy i śmieje się: hu! hu! hu!... hi! hi! hi!...

Porwałaż go dopiero burza, porwała!... Tyle, że nie od matki ani od ojca, ani od własnej chaty, tylko z pola, sierotę.

Rozumiał, że jest z nim coś bardzo niedobrze, ale — cóż na to poradzić. Źle mu jest, gorzej mu pewnie będzie, lecz że już było źle, gorzej i najgorzej, więc otworzył oczy i puścił się wagonu. Taka wola boska. Od tego on przecie biedny chłop, żeby dźwigał nędzę na karku, a w sercu obawę i żal.

Lokomotywa przeraźliwie zagwizdała. Michałko spojrzał przed siebie, i zobaczył zdaleka, jakby las domów, płachtą dymu zasnutych.

— Czy to pali się gdzie? — zapytał brekowego.

— To Warszawa!...

Chłopa znowu za piersi ścisnęło. Jak on tam ośmieli się wejść w ten dym?

Stacja. Michałko wysiadł. Pocałował brekowego w rękę i rozejrzawszy się, poszedł zwolna do sklepu, gdzie na szyldach wymalowane były kufle z czerwonem piwem i zielona wódka we flaszkach. Nie ciągnęła go tam pijatyka, ale co innego.

Za szynkiem widać było murujący się dom, a przed sklepem stali mularze. Więc przypomniał sobie radę inżyniera i poszedł zapytać o robotę.

Mularze, chwaty chłopcy, powalani wapnem i cegłą, sami go zaczepili.

— A cóżeś to za jeden?... A zkądeś to?... Jak twojej matce na imię?... Kto ci taką czapkę uszył?...

Jeden ciągnął go za rękaw, drugi mu czapkę wbił na oczy. Parę razy obrócili go w kółko, tak że nie wiedział już zkąd przyszedł.

— Zkądeśto chłopaku?...

— Z Wilczołyków panie! — odparł Michałko.

Ale, że mówił głosem śpiewającym i miał minę bardzo zakłopotaną, więc mularze poczęli się chórem śmiać.

On stał między nimi i, choć go trochę sponiewierali, śmiał się także.

— To ci dopiero wesoły naród, nie bój się! — myślał.

Ten jego śmiech i uczciwa mina przejednały mu ludzi. Uspokoili się, zaczęli go wypytywać. A gdy powiedział, że szuka roboty, kazali mu iść za sobą.

— Głupi bestja, ale zdaje się, że chłopak dobry — mówił jeden z majstrów.

— Trza go wziąć — dodał drugi.

— A wkupisz się ty? — pytał Michałka czeladnik.

— Kiedy nie wiem jak?

— Postawisz garniec wódki — dodał drugi.

— Albo dostaniesz basarunek! — wtrącił trzeci ze śmiechem.

Po namyśle chłop odparł:

— Jużci wolę dostać niż dawać...

Mularzom się i to podobało. Wsunęli mu znowu parę razy czapkę na oczy, ale ani upominali się o wódkę, ani mu nie sprawili basarunku.

Tak zabawiając się, zaszli na miejsce i wzięli się do roboty. Majstrowie weźli na wysokie rusztowania, a dziewuchy i wyrostki zaczęły cegłę nosić. Michałkowi, jako nowotnemu, kazano przerabiać gracą wapno z piaskiem.

Tym sposobem zaciągnął się do mularki.

Na drugi dzień dali mu do pomocy dziewuchę tak ubogą, jak on. Za całe odzienie miała starą chustkę, dziurawą spódnicę i koszulinę, pożal się Boże! Nie była wcale ładna. Miała śniadą i chudą twarz, nos krótki, zadarty i niskie czoło. Ale Michałko nie był wybredny. Ledwie stanęła przy nim z gracą, zaraz nabrał do niej ciekawości, jak zwyczajnie chłop do dziewuchy. A kiedy spojrzała na niego z pod wypłowiałej chustki, uczuł, że mu jakoś ciepło we środku. Nawet ośmielił się tak, że do niej zagadał.

— Zkądeście to? Zdalekaście od Warszawy? Dawno robicie z mularzami?

O takie ją tam rzeczy wypytywał, mówiąc *wy*. Ale że ona wnet zaczęła mu mówić *ty*, więc i on jej — *ty*.

— Nie męcz się — mówił — już ja zrobię i za ciebie i za siebie.

I robił sprawiedliwie, aż się z niego pot lał strumieniami; a dziewczyna tylko suwała gracą po wierzchu wapna, tam i napowrót.

Od tej pory chodzili dwójką przez cały dzień, zawsze razem i zawsze sami. Niekiedy łączył się z nimi jeden czeladnik. Dziewusze nawymyślał, z chłopa nakpił i tyle. Wieczorem zaś Michałko zostawał spać w murującym się domu, bo nie miał gdzie, a jego towarzyszka szła w miasto, razem z innymi i z owym czeladnikiem, który jej wciąż wymyślał, a czasem i dał w kark.

— Czegoś nie lubi dziewuchy — mówił sobie Michałko. Ale trudna rada! Od tego przecie jest czeladnik, żeby nas poszturkiwał...

Za to on sam starał się jej wynagradzać krzywdę, jak umiał. Robił wciąż za nią i za siebie. Na śniadanie dzielił się z nią chlebem, a na obiad kupował jej barszczu za pięć groszy, bo dziewucha nigdy nie miała pieniędzy.

Gdy wkrótce przeznaczyli ich do noszenia cegieł na górę, chłop nie mógł już wyręczyć swojej przyjaciółki, bo jej majstrowie pilnowali.

Ale po giętkich rusztowaniach chodził za nią krok w krok, a jak się bał, ażeby nie potknęła się i żeby cegły jej nie przywaliły!

Widząc taką troskliwość chłopa ów zły czeladnik, drwił sobie i pokazywał ich innym. Inni się także śmieli i krzyczeli na Michałka z góry:

— Na głupi na!...

Raz w południe odwołał czeladnik dziewkę na bok, czegoś od niej chciał, nawet poturbował ją mocniej niż zwykle. Po tej rozmowie, spłakana, przyszła do Michałka, pytając: czy nie ma pożyczyć jej dwudziestu groszy?

Czegoby on dla niej nie miał. Więc prędko rozwiązał węzełek, gdzie były pieniądze przywiezione jeszcze ze stacji i dał jej żądaną sumę.

Dziewucha odniosła dwadzieścia groszy czeladnikowi. I od tej pory nie było prawie dnia, ażeby jej chłop nie pożyczał na wieczne oddanie. A kiedy zapytał raz nieśmiało:

— Na co ty dajesz pieniądze temu piekielnikowi?

— Abo już tak! — odparła.

Jednego dnia czeladnik pokłócił się z pisarzem i rzucił robotę. Nie dosyć że sam rzucił, ale jeszcze kazał dziewczynie, jakby jakiej słudze, zrobić to samo — i — iść za nim.

Dziewczyna zawahała się. Lecz gdy pisarz pogroził, że jeżeli nie dotrzyma do wieczora, to nie zapłaci jej za cały tydzień — wzięła się znowu do cegieł. Prostemu człowiekowi miły jest przecie grosz, jeszcze tak krwawo zapracowany.

Czeladnik wpadł w złość.

— Idziesz, psia wiaro — krzyczał — czy nie idziesz?

— Jakże pójdę, kiej mi nie chcą zapłacić. Dobrze by było za tego rubla spódniczynę sobie przynajmniej kupić.

— No — wrzasnął czeladnik — to teraz-że mi się na oczy nie pokazuj, progu nie przestąp, bo cię na śmierć zabiję!...

I poszedł ku miastu. (C. d. n.)

Historyczny rozwój ślubów cywilnych w Europie.

Niezmiernie ciekawą jest walka, jaką staczać musiała myśl społeczna z pojęciami, jakie istniały w pierwszych wiekach chrześciaństwa, pod względem ślubów cywilnych.

Wieki średnie przedstawiają nam osobliwość, nieznaną narodom współczesnym, mianowicie państwo i kościół. Nietylko państwo i kościół stanowiły jedną całość, lecz kościół, mówiąc właściwie, uosabiał w sobie państwo. Kościół bardzo zajmował się wszystkiemi interesami politycznemi i społecznemi narodów. Pierwiastek duchowny miał bezwarunkową przewagę nad cywilnemi, to też w wiekach średnich o ślubie cywilnym mowy być nie mogło. Ślub zawierano po za obrębem prawa cywilnego, t. j. państwo w akcie tym nie brało żadnego udziału. Taki stan rzeczy trwał aż do samej reformacji, gdy państwo rozpoczęło zaciętą walkę z kościołem. Protestantyzm, jak wiadomo, nie uznawał ślubu za sakrament i uważał takowy, według słów Lutra, za „rzecz świecką“. Akt ślubny przestał być monopolem kościola i przeszedł do domów prywatnych. — Luter wprost twierdzi, że małżeństwo, jak wszelka inna *umowa*, zawarta być może nietylko w kościele, lecz i w ratuszach lub innych urzędach państwowych, a nawet w domach prywatnych. Uroczystość kościelna nie straciła jednak przy zawieraniu małżeństwa swego znaczenia, gdyż myśl o konieczności żywiołu duchownego przy zawieraniu ślubów, zakorzenioną była w umysłach narodu i obecnie bardzo wielu jest tego samego poglądu.

Żeby zrozumieć lepiej punkt zasadniczy, z jakiego Luter patrzył na małżeństwo, nie od rzeczy będzie rzucić wzrokiem na prawo kanoniczne w małżeństwie, w tej formie, w jakiej istniało przed soborem Trydenckim.

Prawo to rozróżnia zaręczyny w teraźniejszości (sponsalia de praesenti) i zaręczyny na przyszłość (sponsalia de futuro). W pierwszym razie zaręczeni, oświadczali gotowość natychmiastowego zawarcia małżeństwa i wyrażali takowy słowami: „chcę cię pojąć za żonę“, „chcę cię pojąć za męża“. Zaręczyny te uważane były jako zawarcie ślubu małżeńskiego i nie potrzebowały dla prawnej swej istoty sankcji kościoła. W drugim razie, mający się zamiar połączyć ślubem małżeńskim w bliskiej przyszłości, chęć tę swoją wyrażali słowami: „pojmę cię za żonę“, „pojmę cię za męża“. — Są to ni mniej ni więcej, jak zwykłe zaręczyny. Nie bardzo Lutrowi podobała się ta różnica, ale nie tyle z powodu treści swojej, ile raczej z zewnętrznej, że tak powiem, gramatycznej formy. Niemiecki chłop i niemiecka chłopka wcale nie pojmowali delikatnego odcienia między zaręczynami „per verba de futuro“ i „per verba de praesenti“. Takie osoby powiadają wprost: „chcę cię mieć, chcę cię wziąć, ty masz być moim lub moją i t. d. Mimo to i Luter uznaje różnicę między zaręczynami zwyczajnemi i warunkowemi, t. j. takiemi, po których małżeństwo staje się faktem, dopiero po dokonaniu z góry określonych warunków. — Pierwsze jednak uważa za fakt dokonany, który za pośrednictwem obrzędu kościelnego staje się publicznie stwierdzonym. Pogląd ten przeważa u wszystkich teologów i prawników XVI-go stulecia; zaręczeni, dla rozerwania swych stosunków, obowiązani byli starać się o rozwód w ten sam sposób, jak małżonkowie, zaślubieni w kościele. Wiadomo przynajmniej, że konsystorz wirtemberski nieraz potwierdzał, że zaręczyny równają się zawartemu ślubowi małżeńskiemu. To też, nie omylimy się chyba, utrzymując, że w XVI i XVII wieku ślub kościelny nie był koniecznym warunkiem aktu małżeństwa, ponieważ wielu usuwało się zupełnie z pod tego obrzędu, a kościół ograniczał się na prostem, formalnem zatwierdzeniu związku, zawartego za pośrednictwem zaręczyn. Idea konieczności uświęcania małżeństwa przez kościół, powstała między protestantami dopiero później, mianowicie w wieku XVIII. Naówczas zaręczyny utraciły swoje znaczenie i wstępujący w związek małżeński, musieli uzyskać sankcję ślubną od kościoła.

Śluby cywilne drogą prawodawczą najpierwej wprowadzone zostały do Holandji. Było to w wieku XVI. Z chwilą, gdy kościół protestancki, wskutek odpadnięcia od Hiszpanji, uczuł pod sobą grunt trwały, pospieszył ujawnić nadzwyczajną nietolerancję. Dyssydentom i katolikom odmówiono uznania ich religji przez państwo; zmuszono ich do tego, aby chrzcili swe dzieci i zawierali śluby przed pastorami. Podobne rozporządzenie, jak łatwo domyśleć się można, wywołało w kraju niezadowolenia i utyskiwania. Okoliczność ta nie pozostała bez wpływu i na formę zawierania małżeństw. Jakkolwiek lud w Holandji, na początku XVI wieku, zawierał małżeństwa na zasadzie ślubów kościelnych, niewola przecież hiszpańska wskrzesiła stare prawo małżeńskie, o którem holendrzy prawie już zapomnieli. Ruch ten przybierał coraz szersze rozmiary i do niego, rozumie się, przyłączyli się katolicy i dyssydenci. Opinja publiczna domagała się zaprowadzenia ślubów cywilnych. — I w istocie 1. kwietnia 1580 r. instytucja ślubów cywilnych uzyskała sankcję prawodawczą. Na zasadzie nowej ustawy prawo zawierania podobnych związków posiadali i ci, którzy nie wyznawali religji państwowej. — Wiele prowincji poszło za tym przykładem i zaprowadziło u siebie śluby cywilne, które powszechnie zyskały wielkie uznanie i dotąd w Holandji istnieją.

W wieku następnym zaprowadzono śluby cywilne w Anglji, w okolicznościach zupełnie wyjątkowych. Fakt ten nie był wynikiem konieczności praktycznej, lecz był rezultatem teoretycznej spekulacji. Ciekawym przytem jest fakt, że inicjatywę w tej sprawie wzięło na siebie nie państwo, lecz kościół. Rzecz się tak miała. W Anglji istniała partja ultrareligijna, która ze spraw kościelnych wykluczyła wszelkie żywioły świeckie. Oddzielenie kościoła anglikańskiego od Rzymu było, jak wiadomo, wypadkiem politycznym; nie należy go uważać za zupełne odpadnięcie, gdyż kościół anglikański utrzymał hierarchię i pomięszanie atrybutów świeckich i duchownych. Różnica cała polegała, właściwie mówiąc, na tem, że zamiast papieża za głowę kościoła, uznany został król i kościół podlegał temu państwu, w którym się znajdował. Dzięki takiemu biegowi rzeczy, forma nowego kościoła była gotową; pozostało tylko zaopatrzyć ją w treść, t. j. w dogmaty. Dokonanem to zostało przy pomocy idej reformacji niemieckiej, które w XVII stuleciu przeniknęły do Anglji i znalazły żywy oddźwięk w kolach politycznych. — Walkę starego porządku z nowym rozstrzygnęła rewolucja angielska. Tradycje starego kościoła katolickiego rozpadły się wraz z królestwem i 24-go września 1653 śluby cywilne uznane zostały przez prawo zarówno w Anglji, jak w Szkocji i Irlandji.

Nie można twierdzić, żeby nowość ta w pierwszych chwilach przyjętą została przez naród z uznaniem. Wrogowie władzy królewskiej najbardziej przyczynili się do urzeczywistnienia tej sprawy, rojaliści jednak powitali nowe prawo, jako nienawistny im akt gwałtu i na *tyrana* Kromwella (jak go nazywali) sypały się z ich obozu dotkliwe oskarżenia. Zresztą co się tyczy rojalistów, to okoliczność ta posłużyła im do zorganizowania nowej partji politycznej, która działała skutecznie, opierając się silnie na żyjących w ludzie tradycjach. Po restauracji dynastji Stuartów śluby cywilne zostały zniesione, nie obudziwszy w społeczeństwie żadnej silniejszej sensacji. Okoliczności wywołały powrót do tego prawa. Dopóki różne sekty religijne swobodnie mogły korzystać ze swych rytuałów religijnych, rzeczy szły spokojnym trybem. Osoby nie należące do kościoła anglikańskiego, mogły zawiorać śluby za pośrednictwem duchownych swego wyznania i jakkolwiek prawo nie przyznawało tak zawartemu małżeństwu wszystkich praw, związek taki uważany był za istniejący prawnie. To samo miało miejsce względem katolików. W roku 1753 położenie rzeczy nagle się zmieniło nie dopoznania. Zawieranie ślubów za pośrednictwem księży anglikańskich stało się obowiązującem dla wszystkich, z wyjątkiem Kwakrów i Żydów. Nowe prawo skierowane było głównie przeciw katolikom, gdyż od tej chwili i religja katolicka uważaną została za anti-państwową. Katolik nie miał prawa noszenia broni i zajmowania stanowiska w dykasterjach państwa. Łatwo zrozumieć, że wszystko to musiało wywołać silne niezadowolenie, ciągłą walkę, zajścia i zatargi. Galimatias ów trwał bez przerwy do 1799 r., kiedy nareszcie walka zakończyła się emancypacją katolików. Prawa jednak o ślubach cywilnych nie przywrócono. Trzeba było jeszcze paru dziesiątków lat, aby idea ta przenikła głębiej w ducha narodu i w jego samowiedzę. W 1836 r. K. Rossel wniósł w parlamencie projekt prawa o ślubach cywilnych, który wywołał prawdziwą burzę rozpraw parlamentarnych. Dzięki jednak energicznemu poparciu Roberta Peela i jego stronników, wniosek się utrzymał i tego samego roku śluby cywilne zaprowadzono ostatecznie w Anglji.

Do Francji reforma wniosła również swój czynny pierwiastek, jakkolwiek kraj pozostał przy katolicyzmie. Prześladowania protestantów, rozpoczęte we Francji bardzo energicznie, skończyły się już jednak w 1561. Małżeństwa, zawierane przez protestantów, uznano za prawne, jakkolwiek kościół katolicki zapomocą różnych intryg usiłował temu przeszkodzić. W połowie XVII stulecia, jednakże, polityka wewnętrzna Francji uległa zmianie i państwo zreformowano w duchu jedności katolickiej. Edykt nantejski utracił swą siłę, a położenie protestantów poprawiło się znowu.

Mimo to małżeństwa między protestantami zawierano po dawnemu, tylko w innej formie, łączącej w sobie żywioł świecki i duchowny. W 1685 r. protestantów zobowiązano do zawierania małżeństwa wprawdzie za pośrednictwem duchownego, wyznaczonego w tym celu przez

*

państwo, lecz »*en presence du principal officier de justice de la residence ou demeureront et auront été établis les dits ministres*«. Trwało to zresztą nie dłużej, niż miesiąc, poczem znowu w kraju całym wzbraniano im odprawiać nabożeństwa. Prześladowano protestantów nietylko z energią, ale z oburzającą srogością. Protestanci uciekli do lasów i w góry, gdzie zgodnie z swą wiarą odprawiali modły i wszelkie swe obrządki religijne. Małżeństwo protestanckie uległo takiemuż losowi, prześladowano je okrótnie, wiekowych skazywano na śmierć, mężów posyłano na galery, żony oddawano do więzienia na życie całe. Wiadomo jednak, że im silniej prześladujemy jakąś ideę, tem więcej zyskuje ona zwolenników; obawa kary ustępuje najzupełniej. Stwierdziło się to i w tym wypadku. Doszło nareszcie do tego, że więzienia nie mogły pomieścić wszystkich tych „przestępców". Rząd wtedy dopiero wstrzymał się od prześladowań, gdy mnóstwo ludzi było zrujnowanych, stosunki społeczne strasznie się naprężyły, a niedaleka przyszłość groziła podkopaniem wszystkich podstaw państwowych i społecznych. Ale duchowieństwo katolickie głuche było na głos rozsądku, który dochodził z niektórych stron. Społeczeństwo jawnie stawało po stronie prześladowanych i nareszcie w roku 1755 literatura po raz pierwszy zwróciła uwagę na śluby cywilne na wzór istniejących w Holandji, jako na środek zażegnania walki. Nim jednak wezwano na pomoc prawo, okoliczności przyjęły gorszy jeszcze obrót. W roku dopiero 1787 Ludwik XVI wydał edykt na korzyść protestantów, dozwalający im zawierać na nowo śluby cywilne. Z przytoczonego powyżej okazuje się, iż forma ta ślubów małżeńskich, dotyczyła jedynie protestantów, pozostali Francuzi zaś trzymali się dawnego porządku rzeczy.

Ślub cywilny, jako obowiązkowy dla całego państwa, narodził się dopiero wraz z rewolucją. Konstytucja 1791 r. wprost orzeka: „prawo uznaje małżeństwo za umowę cywilną." Prawo to ogłoszono 20. września 1792 r. Nie można nadto pominąć milczeniem ciekawego faktu, że zaprowadzenie we Francji ślubów cywilnych przeszło zupełnie niepostrzeżenie. Żadna gazeta rewolucyjna tego czasu ani słówska nie wspominała o nowem prawie i w ogóle nik nie zwrócił nań uwagi. Encyklopedyści i inni pisarze milczeli również, jak gdyby niewiedzieli o jego istnieniu. Montesquieu w swojem *Esprit de lois* i Rousseau w *Contrat social* ani słowem tej ery nie omówili. Właściwa przyczyna tego milczenia polega na tem, że zwracano wtedy uwagę na rzeczy bardziej ogólnikowe a zajmowanie się ideami rewoluczyjnemi zatrzymywało uwagę myślicieli głównie na tych zjawiskach, k'óre były skutkiem nowego stanu rzeczy.

W Belgji zaprowadzono ślub cywilny po rewolucji francuskiej. Restauracja 1815 i połączenie Belgji z Holandją pozostawiły reformę tę nietkniętą. Duchowieństwo w Belgji wystąpiło natychmiast z opozycją przeciw nowej formie małżeństwa i gdyby rząd holenderski nie działał półśrodkami, mógłby przytłumić opozycję w zarodku. Postępowanie jednak z jego strony było nader niepraktyczne. Rząd ogłosił, że nikt nie może zawierać ślubów przed urzędnikami cywilnymi, nie przedstawiwszy świadectwa księdza o tem, że żadnych przeszkód nie ma. Rozporządzenie to wywołało ze strony biskupów zakaz księżom wydawania świadectw, a przeto samo zawieranie ślubów cywilnych stało się niemożliwem. Największym błędem było, że rząd holenderski, przyjąwszy za wzór śluby cywilne francuskie, odrzucił jeden warunek, bardzo ważny, a mianowicie, że księża nie mają prawa dawać ślubu przed zawarciem umowy ślubnej. Naturalnie, duchowieństwo skorzystało z nietaktowności rządu holenderskiego dla spotęgowania swego wpływu i zmuszało wstępujących w związki małżeńskie do zawierania najprzód ślubu kościelnego, a następnie umowy cywilnej.

Spowodowało to nieporozumienia, gdyż wiele osób, zawarłszy ślub kościelny, lekceważyło sobie akt cywilny, jako formalność zbyteczną, a państwo nie uprawniało takiego związku. Najniekorzystniej ujawniało się to przy procesach spadkowych. Poprawić stan rzeczy mogło tylko przywrócenie francuskiego prawa o małżeństwie w całej jego rozciągłości. Stało to się w roku 18 0, gdy Belgja ostatecznie odpadła od Holandji. Od tej chwili śluby cywilne w kraju owym uzyskały trwałą podstawę, gdyż jednocześnie z wybuchem rewolucji dekret z 16. października ogłosił, że znosi się wszystko, co ogranicza swobodę sumienia.

Co się tyczy Niemiec, to do 1848 r. ślub cywilny istniał tylko w prowincjach nadreńskich. Prusy nie znały tej formy małżeństwa. Burzliwy rok 1848 uznał wprawdzie paragrafem 16. konstytucji ślub cywilny za prawny, który powinien poprzedzać ślub kościelny. W 1851 r. postanowiono, że zaprowadzenie ślubów cywilnych zależeć będzie od właściwego prawa, które jednak długo dało czekać na siebie w Niemczech. Reakcja w danym razie zrobiła swoje i tylko Oldenburg i Frankfurt nad Menem nie uległy jej wpływom. W pierwszym śluby cywilne zaprowadzono 21. maja 1855 r., a w drugim 19. listopada 1850 r. W Badenie małżeństwo cywilne istnieje od 21. grudnia 1869 roku. Oprócz wspomnianych państw śluby cywilne powoli wprowadzono we Włoszech, Austrji, Szwecji, Norwegji, Szwajcarji, w państwach naddunajskich, w Hiszpanji i po części w jej amerykańskich koloniach. Dziś przeto jedna tylko Rosja nie toleruje ślubów cywilnych.

O LWOWIE! MIASTO TY MOJE BOSKIE!

O Lwowie! miasto ty moje boskie!
Czemu na czole twem widzę troskę?
Dawniej rozkoszne, pełne brawury,
Dzisiaj krok chwiejny, wzrok masz ponury,
Na smętnem licu siadła ci trwoga...
Ani cię bawi twojego wroga,
Starego «Czasu» sromotna klęska,
Ani cię radość chwyta zwycięzka,
Że carat wpada we własne dołki,
Ni cię Stańczyków cieszą koziołki....
O miasto! powiedz! Czy ci koryto
Najukochańszej Pełtwi przykryto?
Czy tradycyjne sprzątnięto śmiecie?
Czy mniej masz błota? mniej pyłu w lecie?
Albo w deszcz z rynien brak ci kąpieli?
Czy już gdy zima bruki zabieli,
Nie możesz, w braku bystrego oka,
Własną długością mierzyć rynsztoka?
Czy przyszłość ci się tak marną wyda
Że Merunowicz zjadł już pół żyda?
Czy cię tęsknota jakaś napada,
I o szesnastym śnisz listopada,
Dniu, w którym grzbiet twój, twardy i strojny,
Taką okazał zdolność do wojny?
O Lwowie! brzydki hipokondryku!
W twych murach tyle boskiego szyku,
Że Wiedeń z żalu dostał gorączki.
Masz pyszne hasło «Całuję rączki»,
Kiełbasy tobie robi Underka,
Kulparków na cię zalotnie zerka,
Kłopoty zdałeś na Bajki, Rury,
. . świat cały rąbie ci z góry,
I durny Jasio też pięknie gada;
Co dziesięć kroków spotykasz dziada,
Banki tantjemy sypią szalone...
Miasto! więc czemuś tak zasępione
Jak gdybyś miało ukłaść się w trumnę?
Miasto! tyś chrobre winno być, dumne!
Ty nić wesołej rozsnuwaj przędzy...
Słuchaj, a może brak ci pieniędzy?

M. Rodoć.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Od niejakiego czasu wszystko nam sprzyja tak na ziemi jako też na niebiesiech, czego dowodem prześliczna pogoda na święta. Mogliśmy tedy z należytym ustrojem ducha, spożyć szczęśliwie wszystkie udałe i nieudałe pieczywa, tudzież cały zapas wędlin, które przed świętami zalegały handle i place publiczne. Piękne dni minęły jak sen i na nowo rozpoczęła się zima, potwierdzając opinię o naszym klimacie, w którym przez siedm miesięcy w roku mamy zimę, a przez pozostałe pięć zimno. Nam, w mieście, ta spóźniona wiosna jeszcze nie bardzo dokucza; prócz katarów i wydatków na drzewo, zresztą dajemy sobie radę. Ale bracia szlachta ze wsi — to już płaczą rzewnemi łzami, że siać i orać nie mogą... że dla inwentarzy nie ma paszy, że znów idą święta ruskie, które lud nasz obchodzi jak zwykle przez tydzień, więc panie gospodarzu, chcąc nie chcąc świętuj także i trzyj czuprynę i wzdychaj.

Tyle nam już piszą i obiecują o zrównaniu kalendarzy, że doprawdy wielki czas byłby wziąć się do tego na serjo i raz uregulować tę sprawę, na której rok rocznie tracą się miljony. Ot gdyby to panowie borytele ruscy zechcieli poagitować w tym kierunku, a z pewnością więcejby wyświadczyli dobrodziejstw temu ludowi, którym się niby opiekują, aniżeli szczując go wciąż na Lachów i namawiając do podawania próśb do cara oswobodziciela. Źle się podobno wybrali w tym wypadku, bo on sam niczego więcej dziś nie pragnie, jak również oswobodzenia od nihilistów.

Tymczasem u nas tu w Galicji co raz lepiej się dzieje, pieniędzy mamy podostatkiem, stopa procentowa dla tych, co je mają do lokacji, nieustannie się zniża — gdy przeciwnie akcjonarjuszom banków stopniowo się podwyższa. Chleb idzie w górę, a jednocześnie uczciwość ma stałą tendencję ku spadaniu; ankiety rosną w proporcji geometrycznej, a rezultaty ich narad spadają nakształt rozpierzchniętych kamieni meteoru z hukiem, trzaskiem i błyskiem, i gasną. Jedno z najmłodszych stowarzyszeń, „Spójnia", do którego, powiedzmy prawdę, historyczne nazwiska nie bardzo się spieszą, posta-

nowiło wydźwignąć z dotychczasowej martwoty przemysł tkacki. W tym celu podało memorjał Wydziałowi krajowemu, żądając pomocy kraju. Marszałek podobno przyjął deputację bardzo życzliwie, i obiecał poparcie, z którego znowu powstanie ankieta i wiele hałasu, jak ongi z ankietą zbożową, końską, szkolną, naftową i t. p., ale czy tkactwo nasze będzie z niej zadowolnione, rezultat pokaże. Gadać, co prawda, umiemy bardzo dobrze, a jeszcze lepiej pożyczać, czego dowodem najnowsza pięćdziesięciomilionowa renta na pokrycie bieżącego deficytu. Stronnictwo nasze będące przy władzy, nadzwyczaj jest zadowolnione z emisji owej renty i liczy ją do rzędu tryumfów finansowych, ciekawa rzecz tylko, czy tak samo cieszyć się będą potomkowie nasi, którzy te co rok dopożyczane miljony muszą zapłacić. Ale jak to powiadają, że na bezrybiu i rak ryba, więc w tym wypadku szczęśliwa pożyczka uważa się za bardzo znakomity sukces polityczny.

W mieście za to cisza i spokój wśród organicznej pracy, do której zaliczam także dobre funkcjonowanie organów trawienia, bo i to przecie jest organiczną pracą. Architekci i przedsiębiorcy budowlani, coś chodzą z bardzo zafrasowanemi minami. Nikt, nic nie chce budować, a wszystkie kamienice, prócz Banku hypotecznego, stoją dzięki Bogu cało bez stępli. Doprawdy ten Magistrat nasz jest bez serca, jakże można kompromitować tyle dobroczynną instytucję i kazać jej dawać na zewnątrz podpory, gdy ona tak dzielnie stoi duchem i udziela w te tanie czasy dwanaście i pół procentów swoim akcjonarjuszom. Przyznam się, że to jest niedelikatnie ze strony budownictwa miejskiego i gdybym był Bankiem, tobym się śmiertelnie obraził.

Codzienne pisma nasze dotąd jeszcze nie mogą sobie dać rady z procesem i egzekucjami w Petersburgu, podając wciąż różne szczegóły tyle wstrętnej i obrażającej wszelkie uczucia ludzkie tragedji, jakich im różne korespondencje dostarczają. Zresztą mniejsza o to, w kwestji gustu, trudno prowadzić dyskusję, tu chcemy tylko zwrócić uwagę niektórych redakcji, aby przed oddawaniem do druku artykułów o Rosji, zechciały dobrze przepatrzyć treść i nie kompromitowały takich naprzykład osobistości jak Spasowicz. Że korespondent dowiedziawszy się to i owo pisze naprzykład o ranach na piersiach, powstałych skutkiem topienia na nich laku przy indagacji carobójcy — nie dziwimy się temu, ale że miał je oglądać Spasowicz i przytem powiedzieć to i to — nie chce nam się wierzyć. Zresztą, gdyby i tak było, to ze względu na tyle sympatyczną i pełną poświęcenia dla sprawy ojczystej osobistości szanownego adwokata, nie należy go wystawiać z tego powodu na otwarte napaści wrogiego nam obozu moskiewskich dzienników, które z takich sposobności w lot korzystają, aby tylko podkopać jego stanowisko, tyle dla sprawy naszej użyteczne. Wszak gazety nasze czytają w Warszawie i Petersburgu, nie należy przeto choćby w najlepszej intencji denuncjonować naszych przyjaciół, zmuszonych żyć i działać w tamecznej sferze. Już nieraz pisma warszawskie upominały się o to, aby prasa galicyjska zechciała być więcej wstrzemięźliwą i mniej otwartą, gdy idzie o osoby, zamiary lub intencje braci naszych z za kordonu, — trzeba przeto i dla ich spokoju coś zrobić i nie wygadywać wszystkiego o czem wiemy.

W ostatnich dniach przyszła wiadomość z Wiednia, że znany publiczności naszej p. Platon Kostecki, poeta, otrzymał złoty medal za wiersz napisany na cześć Calderona. Zapewne musi on posiadać wyższą poetyczną wartość, jeżeli go odszczególniono, dlatego sądzimy, że szanowny i tyle sympatyczny autor da też i naszej publiczności poznać swój utwór, który mu zjednał taką sławę i uznanie nad brzegami Manzanaresu.

* * *

— W Kołomyi rozpoczęło wychodzić ruskie czasopismo p. t. *Świtło*. Już pisma codzienne zaznaczyły, iż nowy ten dziennik kieruje się szlachetnemi tendencjami i ma przedewszystkiem na widoku szerzenie oświaty między ludem. Pozostaje nam tylko podnieść jeszcze rzecz bardzo wielkiej wagi, iż *Świtło* jest drukowane alfabetem powszechnie używanym w całym ucywilizowanym świecie i różni się tem od innych ruskich wydawnictw, drukowanych jakąś mongolicą, jakby umyślnie dla tego, aby odgrodzić lud ruski od powszechnej oświaty. Nie możemy absolutnie zrozumieć, dlaczego Rada szkolna (czy może jaka inna władza), drukuje ruskie elementarze i książki szkolne ową mongolicą? Przecież literatura ruska nie jest tak bogatą, aby wystarczyła do szerzenia światła między ludem, dla czegoż więc same szkoły kładą tamę oświacie? Jakąż korzyść odniesie lud ruski z nauki czytania, jeżeli nie będzie mógł nic czytać nie znając nawet abecadła powszechnie używanego?

Słyszeliśmy tłumaczenie się prowodyrów ruskich, iż zaprowadzają alfabet osobny w tym celu, aby lud pomimo nauczenia się czytać, nie mógł czytywać polskich książek i nie polonizował się. Oryginalne to rozumowanie, zdradza wielką naiwność. Lud polski całemi masami niejednokrotnie osiedlał się na Rusi i samą naturą rzeczy zlał się z ludem ruskim tak, że dziś się rozpoznać nie da — i to się powtarza na całym świecie. Mamy lepsze wyobrażenie o ludzie ruskim i nie obawiamy się, ażeby jakikolwiek alfabet mógł go wynarodowić. Żałujemy tylko, że naiwność prowodyrów ruskich, stawia nieprzepartą tamę szerzeniu się oświaty między ludem ruskim, żałujemy tem bardziej, że władze, od których to zależy, te nierozważne wybryki protegują i popierają.

KARTKA Z PAMIĘTNIKÓW LEKARZA.

Było to w Strasburgu, w marcu 1870 roku. Miałem stawać do egzaminu drugiegu z Patologii wewnętrznej i zewnętrznej i z chirurgji operacyjnej. Teoretyczną część umiałem dobrze, ale potrzeba było przerobić wszelkie operacje, dokonywane na człowieku, żeby praktyczna część nie zawiodła. Tymczasem dostanie trupa do sekcji należało do największych trudności, bo wojenno-medyczna szkoła zabierała wszystkie. Zaledwo czasami udało się odpreparować rękę, lub nogę, ale i to już dobrze pokiereszowaną przez drugich. W tym kłopocie przyszła mi dobra myśl, udać się do stróża prosektorjum, Jeana, wręczyć mu parę franków i za to otrzymać przedmiot, w tej chwili będący mojem największem marzeniem.

— Panie — odpowiedział mi stróż — teraz nie mam ani jednego pod ręką, ale jeżeli pan zechce przyjść o godzinie dziewiątej wieczorem, kiedy w akademji już nikogo nie będzie, to możemy wziąć *reklamowanego* nieboszczyka, który leży teraz w kaplicy na katafalku. *Reklamowanemi* nazywali się ci, co płacili w szpitalu koszta leczenia i za to mieli prawo nie być sekcjonowanemi po śmierci, jeżeli tego nie życzyli sobie ich krewni.

Ucieszyła mnie niezmiernie ta wiadomość, pobiegłem do domu przygotować narzędzia sekcyjne i przeglądnąć jeszcze raz operacyjny podręcznik, żeby jak najmniej tracić czasu na czytanie, a jak najwięcej na sekcję, a nareszcie ażeby ułożyć sobie plan całej wieczornej roboty.

Już przed ósmą byłem w akademji i siedziałem w pomieszkaniu stróża, który uporządkowawszy prosektorjum i doczekawszy się, że wszyscy poszli do domów, dał mi znak, żebym poszedł za nim do szpitalnej kapliczki, gdzie była wystawa ciał.

— Teraz — rzekł Jean — dopomóż mi pan rozebrać nieboszczyka.

W kilka minut sprawa była skończona. Chwyciłem zmarłego na ramiona i przez ciemny korytarzyk poniosłem do prosektorjum. Jean pozostał, ażeby uporządkować kapliczkę. Wniósłszy łup mój do sali, ułożyłem go na stole sekcyjnym, najbliższym od wejścia, zniżyłem lampę, nakryłem ją abażurem, żeby światła było dosyć i rozłożyłem notatki moje i narzędzia chirurgiczne, gotując się do rozpoczęcia pracy.

— Panie — rzekł mi Jean, który nadszedł w tej chwili, nie można tylko robić operacji na rękach i na głowie, bo krewni mogliby to dostrzedz. Jak pan skończy robotę, proszę mnie zbudzić; odniesiemy trupa napowrót do kaplicy i pan mi pomoże ubrać go znowu.

— Dobrze — odrzekłem — daj mi klucz, ażebym mógł zamknąć się ze środka.

Prosektorjum akademji medycznej, była to długa, przynajmniej na szesnaście metrów, sala, oświetlona z obu stron wysokiemi i szerokiemi oknami. Wzdłuż sali stały we dwa rzędy stoły sekcyjne, a na każdym leżały resztki ludzkie, przynajmniej z dwóch trupów, pokrajane w najrozmaitszy sposób przez uczniów wojenno-medycznej szkoły. Wzdłuż ścian ciągnęły się rury wodociągowe z rurkami na wysokości każdej pary stołów. Drzwi w głębi prowadziły do zbioru różnych anatomicznych okazów, preparowanych przez uczniów.

Zamknąwszy drzwi od wewnątrz i usadziwszy się dobrze, zacząłem operację od podwiązywania różnych tętnic, potem amputacji i wyłuszczania ze stawów, dobywanie kamieni z pęcherza i wprawianie przepuklin. Jakoś zgrabnie mi to szło bardzo, tak, że robota około dwunastej w nocy była prawie na ukończeniu. Pozostało mi tylko zrobić operację przecięcia tchawicy, którą już kilkakrotnie robiłem i operacja katarakty. Dzwon strasburskiej katedry uderzył trzy kwadranse na dwunastą.

— Oto następuje czas duchów — pomyślałem i poświstując nachyliłem się nad trupem, żeby obrać dokładnie miejsce do cięcia. W tej chwili usłyszałem w nieoświetlonej głębi sali sekcyjnej

ruch jakiś, jak gdyby jedno z ciał leżących na oddalonym stole poruszyło się.

Choć byłem przywykły do pracy wśród trupów, wiedząc, że te już nikomu nic złego nie zrobią, jednak ten szmer nie objaśniony przykro oddziałał na moje nerwy. Coby to mogło być?— rzekłem do siebie. Et głupstwo, przesłyszało mi się tylko i nic więcej. I znowu nachyliłem się nad nieboszczykiem.

Dziwne to stworzenie ten człowiek. Pomimo nasilniejszego przekonania, że świat duchów nie ma nic wspólnego ze sprawami ziemskiemi, pomimo znajomości nauk przyrodniczych przyuczających do analizy wszelkich zjawisk fizycznych, pomimo doświadczeń, że każda rzecz materjalna ma swoją materjalną przyczynę— nagłe nie objaśnione jakieś zjawisko napawa nas niepokojem i przerażeniem. Nie wiele jest ludzi na świecie, rzekł sprawiedliwie Napoleon, którzyby byli odważni o drugiej godzinie w nocy. Ten szmer niespodziewany i tajemniczy tak mnie zaniepokoił, że myśli dobrze zebrać nie mogłem, a ręka trzymająca skalpel drżała.

W tej chwili szmer się powtórzył; wyraźnie usłyszałem w głębi sali posunięcie się ciała po żelaznym stole i jakieś skrobanie, jakby kto pazurami drapał po blasze. Dreszcz przebiegł mnie po całem ciele, wyprostowałem się i wlepiłem oczy w ciemną przestrzeń, której nie oświetlała moja lampa. Cisza zapanowała znowu, ale krótko. Posuwanie się i drapanie powtórzyło się na ten raz dłużej, a potem usłyszałem stuk padającego ciała na kamienną podłogę. Poczułem, że mi włosy powstają na głowie; uczucie strachu owładnęło całem mojem jestestwem, chciałem uciekać... W tem błysnęła mi myśl — czy to nie z letargu zbudzony jakiś człowiek, którego przyniesiono tu, sądząc, że umarł? Myśl ta wstrzymała mnie. Zdjąłem lampę i wziąwszy ją do drżącej ręki, udałem się w głąb sali. Jak tylko echo moich kroków obiło się o sklepienie sali, usłyszałem znowu jakiś ruch pośpieszny, jakby padanie czegoś nie wielkiego na ziemię, a potem wszystko ucichło.

Rzeczywiście, z jednego ze stołów, w głębi sali stojących, spadł trup i leżał twarzą zwrócony ku ziemi. Siny, trupi kolor pokrywał jego skórę. Postawiwszy lampę na stole, podniosłem go. Był to nieboszczyk, który już służył uczniom do nauki: piersi i brzuch były otwarte, a trzewia wyrzucone. Nie był to więc człowiek w letargu tu przyniesiony. Lecz co go rzuciło na ziemię, było to dla mnie tajemnicą. Spojrzałem na stół, myśląc że ten da mi wyjaśnienie, ale stół miał, jak i wszystkie inne, pochyłość do środka i otwór do ścieku wszelkich płynów do naczynia pod nim postawionego. Podniosłem nieboszczyka i położyłem go na stole.

Dziś już nie jestem wstanie zbadać tego stanu duszy, w jakim się znajdowałem; pamiętam, że powróciwszy na swoje miejsce, chciałem jeszcze pracować, lecz myśl o przypadku tylko co zaszłym, nie pozwalała mi zebrać potrzebnej do tego uwagi. Przeczytałem kilka kartek moich notatek, ale przekonawszy się, że praca to próżna, bo nic nie idzie do głowy, udałem się do Jeana, obudzić go i z jego pomocą zeszyć trupa, odnieść nazad do kapliczki i ubrać go jak poprzednio, żeby nikt nie mógł się domyślić w jakich opałach znajdował się w nocy. O wypadku milczałem przed stróżem, bałem się aby nie śmiał się ze mnie.

Gdyśmy już ułożyli nieboszczyka do trumny, zebrałem książki i narzędzia moje, a żegnając stróża, zapytałem go, jakby od niechcenia:

— Mój Janie, czy to u was często się zdarza, że trupy spadają w nocy ze stołów sekcyjnych, tak jak to dziś się zdarzyło?

— Bardzo często, mój panie. W nocy przychodzą szczury na żer do prosektorjum i wlazłszy pomiędzy dwa ciała tak je napierają, że trup stacza się na ziemię. Bywały wypadki, że odgryzały nosy i uszy nieboszczykom. Robiliśmy różne rzeczy, truliśmy, stawialiśmy pastki, nic nie pomaga, potrzeba będzie zrobić żelazne nogi u stołów, ażeby wdrapać się na górę nie mogły.

Dowiedziawszy się że powodem mego strachu była taka błaha przyczyna, kilka dni byłem jak struty, tak mi wstyd było samego siebie; tem więcej, że czułem silne rozdrażnienie nerwowe, spowodowane tym wypadkiem i utratę humoru. Pocieszałem się tylko przysłowiem: errare humanum est.

Dr. Jan Stella Sawicki.

KILKA UWAG
O DZISIEJSZEM WYCHOWANIU KOBIET

Smutno się robi, patrząc na dzisiejsze wychowanie dziewcząt.

Gdzie tu znaleść hożą, czynną, gospodarną dziewczynę, ze zdrowym rumieńcem na licach, jasnem i szczerem spojrzeniem oczu, z uśmiechem prawdziwego zadowolenia na różowych ustach?

Biedniejsze, których los skazał na szukanie chleba w jedynej dziś prawie lepszej karjerze, t. j. w stanie nauczycielskim, w niedbałym stroju, często nieumyte i nieuczesane, blade, mizerne i przygnębione zbytnią nauką, dźwigają stosy książek, samych grafii i logii, spiesząc do ławy szkolnej, z której na ciężką drogę pracy nauczycielskiej przechodzą, nie odetchnąwszy prawie swobodniej. Gdy zaś rodzice nie mogą łożyć na nauki, pracują w magazynach białego szycia, sukien lub kapeluszy, dzień cały pochylone nad igłą. Te nie znają lepszych pragnień, nad posiadanie tych pięknych rzeczy, które stanowią różnicę między biednym a bogatym. Gdy na to igła nie zapracuje, z pustą głową i pustem sercem rzucają się na lekkie fale życia, świadome lub nieświadome smutnego losu swego.

Bogatsze, którym rodzice okrągłą sumkę na posag odłożyli, lub posiadaczki des terres (często inconnues) haftują, rysują, malują okropne nieraz bohomazy, uczą się po angielsku, francusku, włosku, męczą fortepiany, śpiewają nakoniec i z upudrowaną dobrze twarzyczką, z dystyngowanym uśmiechem królują w salonie — gdzie zawsze znajdą się czuli wielbiciele tylu wdzięków panny — a w istocie dźwięków szkatuły.

Mniej bogate, które jako tako byt mają zapewniony — gdyż ojciec jest wyższym urzędnikiem, a przecież jaki wybawca od staropanieństwa się znajdzie — te nadewszystko starają się podobać.

Zaczyna się gonitwa za mężem.

Cały dzień stoi się przed lusterkiem, przy tualecie, na której puder, róż i inne kosmetyki w pogotowiu stoją, aby dodać wdzięków. Żurnale główną odgrywają rolę, a że fundusze nie starczą na drogie krawcowe — najczęściej matka, biedactwo, wraz z córką, przemyśliwają nad świeżemi tualetami i to od rana do nocy.

Biada, gdy konkurent z dobrą pensją nie rychło się zjawi. Laleczka taka stanie się plagą dla rodziców, a gdy wyjdzie za mąż — biedny ten, który opłacać musi wszystkie te wymagania na piękne stroje, meble, teatra i bale.

Cztery te kategorje nader przykre sprawiają wrażenie — a wszystkiemu winno jednostronne tylko wychowanie.

Rozumiem, gdy dziewczę ma zdolności prawdziwe i zamiłowanie — niech będzie nauczycielką. Niech nie uważa jednak zawodu tego, tak pięknego, jedynie za środek do swego utrzymania. Powstają w ten sposób nauczycielki, które z wiecznym kwasem i niezadowoleniem w duszy męczą biedne dzieci pod ich duchowe kierownictwo oddane — same nieszczęśliwe i drugich unieszczęśliwiające, obarczone pracą, która często ich siły przechodzi.

Dlaczegoż to nie ma teraz prawie dobrych klucznic, gospodyń, ogrodniczek, praczek, kucharek? Z postępem nauk przychodzimy do przekonania, że wszystko zarówno ma swe wysokie znaczenie. Tak samo kucharka lub praczka, jak najwyższy dygnitarz państwa — gdy uczciwie i wiernie wypełnia swe obowiązki, godną jest szacunku i poważania.

Teraz prawie każdy stróż każe uczyć swe córki na fortepianie, po francusku — opłaca nauki z ciężkiej swej pracy, a w nagrodę dziecko wstydzi się potem rodziców.

To dążenie do wyższych nauk, często nie jest objawem prawdziwej chęci nabycia wiedzy, a tylko próżnością, chęcią wywyższenia się nad stan. Ileż ja znam kobiet, któreby z przyjemnością oddawały się praktycznym zajęciom, gdyby nie uprzedzenie, że czynności te ubliżają człowiekowi, który ma pretensje do dobrego towarzystwa.

Nauczmy się raz szanować pracę, a i drugich do jej poszanowania zmusimy, a praca fizyczna nie mniej jest szacunku godną od pracy umysłowej.

Wychowanie ma na celu kształcenie ducha i ciała. Ani jedno ani drugie nie jest u kobiet dobrze rozwijane.

Ducha kształcimy albo sposobem czysto mechanicznym, przeładowując mózg suchemi naukami bez zastosowania ich do życia, albo na obcych językach — tylko powierzchowny nadając blichtr. Ciała prawie wcale nie uwzględniamy.

Duch i ciało — to jak słońce i ziemia. Gdy słońce do życia wyprowadza zarody w łonie ziemi ukryte, rozwija je i z kwiatu tworzy owoce, tak ziemia wśród ciągłego ruchu i wymiany pierwiastków, pracuje, aby stworzyć pokarm świeży i zdrowy.

Duch ożywia ciało, ciało karmi ducha, a ruch głównym jest pośrednikiem.

Ruch wyrabia siłę, elastyczność ciała i rzeźwość muskułów, a tego właśnie brak dzisiejszemu niewieściemu pokoleniu. Dziewczęta chorują bardzo często na bladnicę, są nerwowe i słabowite.

Ani taniec w dusznej atmosferze balowej od 8 wieczór do 8 rano nie jest zdrowym, ani przechadzka po publicznym ogrodzie w dwupię-

trowych korkach i w ściśniętym staniku dostateczną; — zajęcie się kuchnią, szwalnią, praczkarnią lub ogrodnictwem, przeplatane nauką, sprawia dopiero prawdziwą równowagę w organizmie.

Wśród ogólnego prądu do wyższego kształcenia się, nie zaniedbujmy i strony praktycznej. Kształćmy kobiety na istoty wszechstronnie i harmonijnie rozwinięte.

Nauczycielka niech nie pogardza szwaczką, szwaczka niech pojmie nauczycielkę — majętna panna niech zrozumie czem jest bogactwo bez własnej pracy i gruntownego wykształcenia — a córki mniej zamożnych ludzi niech poznają, jakim postrachem przejmują tych, którzy dozgonnie swą sakiewkę wypróżniać muszą na ich tysiączne pretensje i zachcianki.

Kobieta praktycznie i teoretycznie wykształcona, w każdym wypadku życia da sobie radę; i czy pójdzie za mąż lub nie, zawsze będzie pożądaną dla otoczenia swego, w którem umie stać się prawdziwie pożyteczną.

W najmniejszem kółku wiele zdziałać możemy, gdy tylko pracować zechcemy i umiemy.

Kobiety przeznaczeniem, bezwątpienia, aby poszła za mąż. W której - że to kategorji znajdziemy dobrą żonę, matkę i prawdziwą obywatelkę kraju?

Gdy pierwsze w pośród ciągłej pracy, czy to umysłowej, czy mechanicznej, nie mogą zapoznać się z obowiązkami około domu i gospodarstwa, drugie wśród ciągłej zabawy nie chcą o nich myśleć.

Zarządzanie domem, gospodarstwem, jest tak ważnem, prawie ważniejszem nieraz niż czynność urzędnika w biurze. Żona w domu jest wszechwładną panią, gdy mąż w urzędzie cząstką tylko wielkiej maszyny, kierującej działem prac w społeczeństwie. Dobra, rządna, oszczędna gospodyni, jest dziś prawie rzadkością i kto wie, czy brak ich nie przyczynia się do tylu ruin majątkowych.

Niech obywatel na małej wiosce weźmie za żonę pannę, co ma posagu 15 tysięcy a pretensji na krocie — znajdzie w niej wszystko, co przyczynia się do uswietnienia salonu podczas dostojnych wizyt, tylko nie gospodynię co się rozumie na kuchni i spiżarni — a kobieta ta sama nawet nie wie, jak swem spaczonem wychowaniem podkopuje byt całej rodziny.

My szczególnie powinniśmy starać się wykorzenić arystokratyczne zachcianki, które stanowią główną przyczynę ogólnej nędzy materjalnej, a matki rozumne niech pojmą niedorzeczność takiego wychowania.

Tylko pracą, i to pracą fizyczną i umysłową, możemy wydźwignąć się z ogólnego upadku materjalnego, a gdy dziewczęta będą prawdziwie wykształcone, przytem rządne, gospodarne i pracowite, powróci znowu rumieniec na ożywione wśród ruchu ich lica — a zadowolenie duszy i zdrowie ciała, błyskiem prawdziwego wesela zajaśnieje w oku.

Marja L.

TEATR.

A zatem, po całotygodniowej pauzie, użytej na przekształcenie i oczyszczenie sali teatralnej, otworzono nam znów gościnne wrota przybytku Talii i Melpomeny!

Trzeba przyznać, żeśmy wynieśli z pierwszego przedstawienia nowej Dyrekcji bardzo miłe wrażenie. Najprzyjemniejszym zaś dla nas objawem — pomijamy tu ład i porządek, tudzież przyozdobienie sceny nowemi dekoracjami — było bardzo życzliwe usposobienie Publiczności, zapełniającej szczelnie cały amfiteatr. Pana Miłaszewskiego, skoro ukazał się na scenie jako współdziałający w prologu pióra Kraszewskiego, zasypano burzą oklasków i istnym gradem bukietów. Podnosimy ten szczegół jedynie dla tego, ażeby rozproszyć obawy, jakoby nowa Dyrekcja dla brakus ympatji i poparcia w mieście naszem nie dawała gwarancji pomyślnego rozwoju sceny. My zasyłamy jej z naszej strony najserdeczniejsze Szczęść Boże, a niemniej życzenia, ażeby to przychylne usposobienie Publiczności trwało jak najdłużej.

Zarazem musimy uspokoić przyjaciół teatru, że scena nasza pod względem repertoaru, w niczem wcale nie ucierpi, gdyż układy z dawną Dyrekcją o odstąpienie całego inwentarza, doprowadziły nareszcie do pomyślnego rezultatu. Zobaczymy więc znowu wiele wybornych sztuk, wprowadzonych przez dawniejszą Dyrekcję, obaczymy znowu ulubione, przed dwoma tygodniami rzekomo po raz ostatni grane operetki a nadto kilka nowości z obudwu zakresów. W personalu dramatu powstała wprawdzie nie łatwo dająca się zastąpić luka skutkiem obłożnej choroby pana Ładnowskiego, tudzież skutkiem ustąpienia panny Wisnowskiej i pana Woleńskiego, spodziewamy się jednak, że Dyrekcja dołoży wszelkich starań aby nam ten ubytek jak najrychlej wynagrodzić, gdyż leży to w jej własnym interesie. Natomiast operetka prosperować będzie jeszcze lepiej niż dawniej, gdyż oprócz pp. Skalskich i p. Bocskaj, będzie wspierana przez sympatyczną, nowo pozyskaną solistkę w drugim sopranie, pannę Dworską i altystkę pannę Wajc. Zresztą personal operetki pozostaje ten sam.

Lecz wróćmy do ostatniego przedstawienia.

Pominąwszy owacje, o jakich już wyżej była mowa, stanowił gościnny występ pani Popiel-Święckiej kulminacyjny punkt tego przedstawienia. Drobna „Iskierka“ była istotnie słońcem, wobec którego wszystko gasło lub pozostawało w półcieniu; pani Święcka była prawdziwą bohaterką wieczoru. Nie będziemy się nawet kusić o zcharakteryzowanie jej gry, gdyż była to w szczupłych ramkach drobniutkiej roli, skończona, pierwszorzędna kreacja. Zachwycona Publiczność nie mogła się uspokoić, i wywoływała artystkę po każdej scenie niepoliczoną ilość razy. Mimo to całość nie zupełnie nas zadowolniła, gdyż pierwszy raz na naszej scenie występująca pani Cichocka, dość blado odegrała bardzo trudną rolę Leonii. O ile pani Święcka przewyższyła pannę Wisnowską, niedawno u nas z takiem powodzeniem występującą w tej roli, o tyle pani Cichockiej ani porównać nie można z panią Nowakowską, która była wyborną Leonją. P. Kwieciński w roli Raula dzielnie zastępował pana Ładnowskiego, chociaż w niektórych chwilach, zwłaszcza końcowych, życzylibyśmy sobie mniej trzpiotowatości, a więcej głębokiej refleksji, jaką musi wywołać proces psychiczny, rozwijający się w sercu Raula.

Dany na zakończenie pierwszy akt *Krakowiaków i Górali,* odegrano raźno i z życiem, a do powodzenia nie mało przyczyniły się dobre chóry, z ogniem i porządnie prowadzone tańce, a najbardziej podobno wyborna gra pana Zamojskiego jako Miechodmucha. Nowe w tej sztuce użyte kostjumy, wiernie i ozdobnie wykonane, powszechnie się podobały, tylko Krakowianki robiły na nas wrażenie pseudo-baletniczek, a to dla zbyt kusych sukienek.

Sprawozdanie z tragedji Asnyka *Kiejstut,* przedstawionej po raz pierwszy dnia 19. b. m. musimy dla braku miejsca odłożyć do przyszłego numeru, narazie zaś tylko zauważmy, że sztuka była wystawiona bardzo starannie a role spoczywały z małymi wyjątkami w odpowiednich rękach dlatego; też i całość miłe na widzach wywarła wrażenie.

R. St.

KATASTROFA NA WYSPIE CHIOS.

Ostatnie klęski pożarów, powodzi i trzęsień, jakie nawiedziły Europę w rozmaitych miejscach, odwróciły na chwilę uwagę publiczną od wyspy Chios, w której ostatnia katastrofa zrządziła tyle nieszczęścia.

Miejscowość ta, stanowiąca jedno z dominjów Turcji na morzu Egejskiem, leży pomiędzy Samos i Leebos; przestrzeń jej zajmuje około 18 mil kwadratowych.

Wyspa liczy przeszło 50 tysięcy mieszkańców, pomiędzy którymi przemaga ludność grecka, znajduje się jednak wśród niej bardzo wielu Turków.

Pokryta wyniosłemi górami, pomiędzy któremi Eljaszowa jest najwyższą, wyspa ta odznacza się żyzną glebą, obfituje w bawełnę, oliwę i wino; do najważniejszych jej płodów należą pomarańcze, figi, cytryny, oraz jedwab.

Stołeczne miasto Kastro ma około 16 tysięcy mieszkańców.

Rodzinne bogactwo znajduje się w związku z łagodnym i zdrowym klimatem, dla którego jest pobyt na wyspie rozkosznym.

Ten raj na ziemi w 1822 roku nawiedzony niszczącą dłonią Turków, uległ straszenemu spustoszeniu, po którem pod względem ekonomicznym dotąd się nie podźwignął.

Chios, jak niesie legenda, ma być ojczyzną Homera, wyspa ta od najdawniejszych czasów była świadkiem strasznych przewrotów, obecnie zaś padła sama ofiarą jednej z najokropniejszych katastrof, jakie nawiedzają ludzkość.

Telegramy ze Smyrny obniosły po całej cywilizowanej strefie straszliwą wieść, iż w dniu 4. kwietnia wyspa, która dotąd nie zdradzała wulkanicznej natury, uległa niezwykłemu trzęsieniu.

Katastrofa trwała dni kilka, podczas których naliczono przeszło 250 wstrząśnień, a z tych około 40 było tak silnych, że każde wystarczyłoby do zniszczenia najtrwalej zbudowanego muru.

Zaledwie w kilka dni później można było sobie utworzyć pojęcie o doniosłości nieszczęścia, którego gwałtowność w jednej chwili zniszczyła dobrobyt kilkunastu tysięcy rodzin.

Żyzne niwy, bujne lasy drzew owocowych, zalane wodą wyszłą z łożysk i pokryte pooba-

lanemi pniami, przedstawiają prawdziwy obraz zniszczenia.

Miasta większe i wioski zamieniły się w stos gruzów; kto znał dawne miasto Kastro i Chessę, dziśby ich nie poznał; wszystko to było dziełem jednego potężnego przewrotu w naturze...

O miesiąc wcześniej taką samą klęską nawiedzoną była Jochia na Morzu Tyrreńskiem, pięć razy większa od Chios.

Był to właściwie prolog do strasznego dramatu ostatnich dni, który, oprócz powyższych miast, obrócił w gruzy zamożne dotąd osady: Sarkies, Kalimassia, Vassilianies i Vervezato.

Ze wszystkich domów stolicy zaledwie 30 znajduje się w takim stanie, że można myśleć o ich naprawie.

Liczba zabitych wynosi 2 tysiące, rannych 10 tysięcy!...

Straszne te cyfry mówią za siebie, prawie wszystkie rodziny pozbawione dachu przebywają w barakach; o pomocy dla chorych lub wygodach nie może teraz być mowy...

Trzęsienie to na wyspie Chios, o ile z miejscowych kronik powziąć można wiadomość, było pierwszem.

Kto nie widział podobnej klęski, ten wyobrażenia o niej mieć nie może: korespondent z miejsca do jednego z dzienników angielskich donosi, że zgiełk, trwoga i przerażenie były tak wielkie, że dochodziły do szału...

Wszyscy biegli na miejsca otwarte, tłocząc się i dusząc przy opuszczaniu domów; jedni drugich rozbijali, szukając ratunku na otwartem powietrzu; przy pierwszem poruszeniu ziemi zaczęły trzeszczeć ściany budynków, następne drgnięcia wprawiły w taniec meble i sprzęty, ludzie padali jak martwi na ziemię.

Krzyk i płacz rozlegały się ze wszech stron.

Dies irae zastał wszystkich nieprzygotowanych; najodważniejsi padali na kolana, prosząc niebios o ratunek.

Ostatnie poruszenia były słabsze, ale co prawda, już nic do zniszczenia prawie nie zostało.

Trzask walących się belek przyćmiewał jęki rannych i umierających; mnóstwo zwłok dotąd nie wydobytych, skutkiem czego nastąpił rozkład ciał niepogrzebanych..

Midhat basza postanowił dla zapobieżenia zarazie rozebrać stojące jeszcze resztki murów i poddać zwaliska starannej desinfekcji.

Wypada słówko nadmienić o ludności dotkniętej klęską pomienioną, co nam uzupełni smutne jej położenie.

Chioci udarowani są przez przyrodę...

Umysł ich pełny fantazji oddaje się wszelkim złudzeniom; piękne oblicze i wspaniała budowa usprawiedliwia tradycję, że w starożytności greckim rzeźbiarzom za wzory służyli.

Usposobienie Chiotów wszelako nie odznacza się przedsiębiorczością: są nieoględni i niedbali o jutro; ztąd powstało przysłowie greckie, że roztropny Chiota rzadszym jest od konia zielonego.

Ostatnia katastrofa pogrążyła ich w odrętwienie, myślą też za nich inni; w pierwszej chwili zawinęły do przystani okręty austrjackie i angielskie z pomocą, w dziennikach ogłoszono składki dla nieszczęśliwych, a komitety ratunkowe zawiązały się w rozmaitych miejscowościach.

Przedewszystkiem chodzi o to, aby dla chroniących się pod szałasami obmyśleć trwalsze pomieszczenie i zniszczone zapasy żywności nowemi zastąpić; jedwabnictwo, mastiks i terpentyna, stanowiące główny przemysł ludności, dostarczyć powinny środków do jej dalszej egzystencji.

Zanim wszystko wróci do pierwotnego stanu, sułtanki i odaliski w Konstantynopolu będą w rozpaczy, ulubione bowiem ich kosmetyki, jakie na Chios głównie się wyrabiają, żadnemi innemi nie dadzą się zastąpić; smakosze są w tem położeniu ze względu na przerwę w produkcji wybornego tamecznego wina.

Starożytny zabytek zwany „Szkołą Homera“ oparł się tym razem żywiołom!

Jest to skała z płyt kamiennych u stóp góry Epos, którą fala morska obmywa; głazy te, wsparte na czterech, mocno już uszkodzonych figurach, miały być poświęcone wielkiemu poecie.

Mieszkańcy dla tej relikwji mają cześć wielką; los, który tak okrutnie z nimi się obszedł, oszczędził tę drogą pamiątkę, związaną z twórcą „Iliady“, którym Chioci tak się chlubią.

Piorunująca szybkość, z jaką katastrofa szerzyła zniszczenie, dotąd nie pozwoliła obliczyć wszystkich strat; z tego wszelako co wiadomo, utworzyć można sobie pojęcie, że klęska, jaka spadła na mieszkańców Chios, w ostatnich czasach nie ma sobie równej...

Doniosłość tego faktu pozostanie pamiętną w dziejach ludzkości.

K. M.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** „O kształceniu charakteru.“ Odczyt dla kobiet, miany przez p. Felicję Boberską na rzecz Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie, wyszedł z druku w oddzielnej odbitce i jest do nabycia w Księgarni Polskiej po cenie 40 ct. za egzemplarz.

*** Z listu Kraszewskiego.

Mistrz powieści naszej, w liście do wydawcy powieści historycznych, pisze między innemi:

...Kończę tu (w Hyéres) „Króla chłopów“ — rzecz czterotomową.

„Jest to jedyna powieść z czasów Kaźmierza Wielkiego.

„Nastąpią czasy Ludwika węgierskiego — „Biały książę“, zapewne w dwóch tomach.

„Nic więcej nie piszę teraz i pisać nie będę rychło, oprócz dalszego ciągu historycznych.

„Porę też mamy wiosenną, bywa do 20 stopni — wiatry tylko dokuczliwe.

„Ale kaszel mimo to tak dobry jak w Dreźnie.

„Powracam na Paryż w końcu kwietnia“...

*** Gazeta „Nowoje wremja“ donosi, że rektor warszawskiego uniwersytetu zamiast dra Chmielowskiego na mającą się otworzyć katedrę literatury polskiej, przedstawił Józefa Przyborowskiego.

*** Akademja Mickiewicza w Bononji odbyła dnia 3 kwietnia posiedzenie administracyjne, z którego „Gazeta d'Italia“ zdaje obszernie sprawę.

Prezydent w przemowie swojej podnosił hojność, z jaką Polacy obdarowali w ubiegłym roku tę akademję, która posiada już dość bogaty księgozbiór i 46 obrazów, przeważnie dzieł polskiego pędzla.

*** Paryska akademja lekarska udzieliła prof. Charcotowi nagrodę 2500 franków za dzieło o patologji mózgu, drowi Grancher nagrodę 10,000 franków za pracę o gruźlicy; drowie Gibout i Julien otrzymali po 500 franków, pierwszy za rozprawę o chorobach skórnych, a drugi o kile.

*** Cesarzowa niemiecka wyznaczyła w 1878 roku 2000 marek nagrody za najlepszą pracę o dyfteritis. Przyznanie nagrody miało się odbyć w kwietniu r. b. podczas kongresu chirurgów. Nadesłano dziewięć prac w tym przedmiocie, lecz żadnej nie przyznano nagrody. Przedłużono więc termin do 31 marca 1882 roku.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Największy zakład sztucznej hodowli ryb łososiowatych na świecie będzie istniał w naszym kraju, w majątku Złoty Potok pod Częstochową.

Plany przyszłego zakładu opracował znany ichtyolog p. Girdwoyń.

Warunki miejscowe są tak sprzyjające hodowli, iż projektodawca wróży zakładowi jak najświetniejszą przyszłość.

Największy z dotąd istniejących tego rodzaju zakładów w Horshyfeldzie pod Kolinem, w Czechach, ma 12,000 metrów powierzchni — zakład zaś w Złotym Potoku obejmować będzie 132,400 metrów.

*** Minister spraw wewnętrznych zatwierdził zakaz namiestnictwa dotyczący zbierania składek w całych Czechach na wzniesienie pomnika Żiżki w Weinbergu.

*** Lizbońskie dzienniki zapewniają, iż na wybrzeżach afrykańskich założone zostaną stacje cywilizacyjne, stosownie do propozycji lizbońskiego Towarzystwa geograficznego.

*** Leżący w ruinach od czasu wojny francusko-pruskiej zamek St. Cloud, niegdyś rezydencja Napoleona III, ma być znowu odbudowany i zamieniony w pałac kryształowy na wzór londyńskiego. Zakład ten, zbudowany z żelaza, i szkła, obejmie muzea, zbiory naukowe, akwarja, kąpiele rzymskie, panoramy, pawilon dla prasy i t. d. Na czele tego przedsiębiorstwa stoją b. mer St. Cloud i obecny wiceprezydent izby deputowanych Senard. Budowa już wkrótce się rozpocznie.

*** Przymrozki majowe. Ciekawy fakt zakomunikowano Towarzystwu rolniczemu francuskiemu i Towarzystwu aklimatyzacji. Bardzo łatwą ma być rzeczą przewidzenie z góry dni, w których wystąpią przymrozki majowe. Potrzeba tylko starannie notować dnie mgliste w marcu. W odpowiednie dni majowe będzie mróz biały, może o jeden dzień wcześniej lub później. Zdawałoby się na pozór, że obserwacja podobna jest urojeniem. Jednakże cytują mnóstwo osób a między niemi dwóch uczonych, pułkownika Lefévre i p. Milletu, którzy stale zapisują szczególny ten objaw metereologiczny, jeden od 44 drugi od 18 lat. Nigdy zawiedzionymi nie byli.

Być może, że istnieje tu jakieś prawo naturalne, którego tajemnic nauka jeszcze nie wykryła. W każdym razie kwestja to bardzo poważnego znaczenia dla rolnictwa.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.